



1000  
1000  
1000

1000  
1000  
1000

TADEUSZ MICIŃSKI

TERMOPILE

MISTERJUM NA TLE ŻYCIA

POLSKIE

I ŚMIERCI KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO

## FRAGMENT

*Wielu znanym i nieznanym — zacy-  
nym ludziom w Polsce — a w przeciwień-  
stwie do nich — tym, którzy szargają  
imię Polski, którzy nie czynią wszystkiego  
dla zapalania Znicza na górach i zasiania  
ziaren na padolach —*

*ku rozwadze i w ostrzeżenia poświę-  
cam.*

## UWAGA DLA TEATRÓW

*Wyobrażam tu scenę, jako dwie, trzy lub więcej kondygnacji, reprezentujące jednoczesność i związanie wypadków lub też stopnie wyżyn duchowych.*

*Bohater sceniczny może wstępować lub schodzić, zależnie od poziomu morza w swej duszy.*

*Zgruba charakteryzując, możnaby określić jako stany instynktu, świadomości kulturalno-obywatelskiej i prometeizmu — czyli nadświadomości. Z wyjątkiem prologu — wszystko jest szalonym pędem myśli w głowie Tonącego Księcia. I jak we śnie wizje miewają charakter niezwykle plastyczny w ciągu niewielu sekund — tak i tu akcja rozgrywa się w okamgnieniach. I jak we śnie następuje obraz przystosowany do wypadku w formie objaśnienia przyczynowego. Dźwięk spadającego przedmiotu może utworzyć wrażenie, iż zajeżdżamy do Lizbony, zwiadzamy ją, wreszcie, po długich przejściach następuje trzęsienie ziemi.*

*Nie zamierzamy tłumaczyć psychologii tonącego Księcia, ani jego zjawy pośmiertnej, jeno wykazać realizm samego pomysłu. Autor nie obowiązany tłumaczyć przeżyć osobistych, musi ukazać bramę swej historjografji wkraczającej w misterjum. I tą bramą jest tu prolog. Szekspir dał przykład, jak można być realistą i mistykiem. W misterjum Termopilów jest Anodos i Katodos, wschodzenie narodu na wyżyny Napoleonidów, jak było zejście do Hadesu — za winy ojców. Jeżeli utwór grany będzie w teatrach (odbiegając od losu Bazylissy, Knięża Patiomkina), niechaj aktorzy pamiętają, że gra winna mieć w sobie coś z liturgji, coś — z gestów i słów do wojska przed bojem. Zachowywanie rytmu nawet jeśli maluje się najgłębszą rozterkę i burzę.*

*Jaknajmniej poźqdałbym dekoracyj, muszą być zastąpione przez ujęcie życia w jego kwintesencji, lecz nie w zimnych alegorjach, nie w utartych symbolach (stjńksy i krzyże, orzełek patryjotyczny etc). Muzyka mroku i jasności stopniowanych, tęczyowy chromatyzm barw — słowem koncert światła — zastąpi kosztowny naturalizm Stanisławskiego, a przewyższy w walorach Artyzmu.*

*Dopóki dramat nie będzie miał własnej muzyki instrumentalnej, niech orkiestra gra całość lub głównie motywy: przed Prologiem polonez Ogińskiego, marsze żałobne, Beethowena i Mendelsona przed I aktem — Pastoralną, w II — Apassionatę, w Intermezzo — Symfonję Karola Szymanowskiego, w III — Walkirje Wagnera.*

---

 P R O L O G
 

---



---

 W N U R T A C H E L S T E R Y
 

---

*W dole wzburzone fale rzeki\*), z lewej strony pałacyk japoński, o który toczy się bój. Wozy rozbite, płonące drzewa. Most z przeprowiającymi się spiesźnie wojskami Napoleona. W dali wieże kościelne pożarem objętego Lipska w okolicy Grimmaischestor. Zachmurzony mglisty jesienny ranek. Leżą nagie trupy, wzdęte konie z wyróceniami w górę nogami. Jeden koń obłąkany, wychudły, z głową otwisłą, stoi nieruchomy nad rozwalonym bębnem. Jaszczyki, zdruzgotana armata, przelatują rozżarzone bomby, huk głuchy ciągły jak w młynie. Jęki, wrzaski, rozkazy. Namiot rwany wichrem ilący się ogień, w którym płoną kółby od karabinów, kółko armatnie i trumny przywleczone z cmentarza.*

*Wita — jeszcze piękna, choć ze znakami przerażających męczarni — czuwa przy konającym przybranym synie, lat 18 młodzianie Witoldzie. Twarz greckiego efeba, o potężnych brwiach i czole myś i ciela. Rozrosły, silny. Chorągiew jego przy nim, okryty nią od zimna.*

**WITOLD:** Matko, ja oszaleję! Jedno oko mam już martwicą zajęte, wyglądam pewnie jak Pers konający na rzeźbie w Termach.

**WITA:** Miej siłę, mój synu.

**WITOLD:** Kula armatnia oderwała mi nogę, resztę jej odciął chirurg swą piłą. Wpadli kozacy, piki rozerwały mi wnętrzności. Tedy podeptał mię jeszcze butami oddział infanterji pruskiej. Matko, myśl moja uderza z szaloną intensywnością o zagadkę życia, widzę wszystko — ale ty musisz żyć, a żyjącym tego się niemówił

O Boże, Boże... która godzina?

**WITA:** Słońce ledwo wzeszło, ale go nie widać.

**WITOLD:** Więc to już koniec?

**WITA:** Ja wyratuję cię, najmilszy mój.

**WITOLD:** Nie mówię o sobie — ale Napoleon przegrywał

**WITA:** Wygra jeszcze wiele nowych bitw.

**WITOLD:** Matko, uczyniłaś ślub, że nigdy, póki Polska nie będzie wyratowana, nie wyjdiesz zamaż.

---

\*) W historii popularnie nazywa ją się Elstera. Właściwie jej nazwą, zwaną Plejsą.

- WITA: Tak. Nie wyszłam i nie wyjdę, dopóki Polska nie będzie wolną.
- WITOŁD: Jednakże ja...
- WITA: Rozumiem, o co mię pytasz. Po bitwie maciejowickiej byłam z tymi, co tworzyli legjony. Raz pojechałam sama w daleką krainę, nad morza przecudne, modre. Wszedłam na wulkan Etny. Wizja, że będę mieć genialnego syna, wyzwoliła mię ze ślubu.
- WITOŁD: Któż jest mym ojcem?
- WITA: Nie wolno mi tego powiedzieć.
- WITOŁD: Mniejsza. Kocham jedynie prócz ciebie tylko Kościuszkę, Dąbrowskiego a najbardziej — Księcia. O Boże Boże która godzina... no, to już na mnie czas... (z furją) Puście mnie, no puście — jestem chorąży, ja muszę wieść Krakusów — no, precz do szatana!
- WITA: Miłości moja — nie zrywaj bandażów!
- WITOŁD: Która godzina?
- WITA: Dopiero pięć minut minęło, gdyś o to zapytał. Jest siódma bez kwadransa.
- WITOŁD: Wieczór?
- WITA: Nie, brzask.
- WITOŁD: Myślałem, że już noc — więc ja muszę pożegnać... Ale to okropne, już nie podźwignę nigdy sztandaru. Mamo, nie czuję przy sobie żadnego ducha, nie mówiąc już o Bogu. Duchy nie schodzą na ziemię albo ich wcale niema. Mój koń też zginął, ale szczęśliwiej niż ja. O Boże, jak ja cierpię. Ale ty się tem nie smuć... Mówi przezemnie gorączka. Właściwie, nic nie czuję nawet jakby przyjemny mroźny chłód... (dygoce w febrze i szczęką zębami)
- WITA: Wino. Stary tokaj — ma więcej lat niż ty — zacho-  
wałem go ze zjazdu w Kaniowie.
- WITOŁD: (pije) Doskonały. Czuję się lepiej.  
Widzisz — to jest przełom!
- WITA: (do siebie, lecz półgłosem) Boże, błagałam cię zawsze tylko o sprawy bezosobiste — o wolność ojczyzny. Jeśli cokolwiek czyniłam w sferze duchowej i jeśli można mówić o zobowiązaniach Boga względem istoty ludzkiej — to je masz względem mnie. Teraz więc będę błagała. Teraz nogi na krzyżu obejmuję...

- WITOŁD: Matko, jeśli kto ma co uczynić dla ratowania armji polskiej i Napoleona — niech się śpieszy.
- WITA: Teraz Ci nakazuję — o Chryste! Łamie się dziś ostatnia nadzieja Polski: wielki człowiek! Daszli nam, i kiedy, drugiego Napoleona? Mój syn miałby ten sam genjusz, lecz ze światłem jeszcze wzmożonem intuicji i szlachetności. Ty mi go nie odejmij! Ty nie odejmiesz go ludzkości. Płakałeś i uzdrowiłeś syna wdowy, a sam dożyłeś wieku swej potęgi.  
*(na kondygnacji najwyższej, nabierającej modrego tonu, jawi się Kapelan wojskowy)*
- KAPELAN: Tak, czcigodna pani Wito — bądź zupełnie pewną, modlitwa twa jest wysłuchana. Wprawdzie serce mam zmroczniałe patrząc na tego młodzieńca, ale przeczucie mówi mi, że będzie wszystko jaknajlepiej. Otwórz na wróżbę Ewangelję.
- WITA: *(otwiera i czyta)* „Którą ujrzawszy Jezus przyzwał do siebie i rzekł jej: „Niewiasto, wolnąś uczyniona jest od niemocy twojej.“ I włożył na nią rękę: a natychmiast podniosła się i chwaliła Boga.“ Dzięki Ci, Panie — podwoję miłość mą dla Ciebie i ducha swego rozjarzę jako lampę w jutrzni na roraty.
- WITOŁD: Ja umieram, matuchno...
- WITA: *(prawie z gniewem w natchnieniu)*. Nie umrzesz — zakazuję ci tak myśleć!  
*(nagle przez most na Elsterze, jak huragan przebiegli saperzy francuscy. Podpalają miny. Huk straszliwy wysadzonego mostu. Wbiegają polscy żołnierze i oficerzy)*
- OFICER: W szale obłędu i egoizmu Francuzi wysadzili most. Nasz oddział skazali tu na zagładę, ocalając siebie. Gińmy — ale przynajmniej z honorem. Bracia, jeden za drugim w tyraljerkę, strzelać — spróbujmy zająć ten pałac japoński — stamtąd można będzie długo prażyć ogniem.  
*żołnierze biegną w stronę pałacu, lecz tam już są Prusacy — pod gradem kul, kryją się za drzewa)*
- WITA: *(magnetyzuje syna)* Mów imię Boga Najwyższego, wszakże wyczuwasz Go teraz?
- WITOŁD: Niema... nic...
- WITA: Wzywaj duchów, które płyną — —

- WITOŁD: *(gwałtownie odpycha jej rękę)* Która godzina? no, która godzina — ja ciągle o to pytam!
- WITA: Za trzy minuty siódma.
- WITOŁD: To już koniec!... już po wszystkim!... Niema Księcia... Ale on pędzi, czuję tętent jego konia... Matko, mów mi...
- WITA: Tak to twój ojciec.
- WITOŁD: Raduję się temu... A ty jesteś moją matką — czy tylko przygarnęłaś mnie do siebie?  
*(słuchać tętent)*
- WITA: Jestem twoją matką, bo noszę cię wciąż jeszcze w sobie i będę nosiła aż za grób...  
*(Książę Poniatowski zeskakuje z konia, — łeb koński widać w bogatej trzgli. Książę spieszy do rannego)*
- KSIAŻE: Jak się miewasz mój ukochany chłopcze? odjęli ci nogę? To nic, ja widzisz też nie mam już płuca — będziemy mimo to jeszcze budowali Polskę — aż się stanie — niezdobyta.
- WOJSKOWY: *(kulejąc wsparty na szabli)* Mości Książę — mniej mów — krew buchnęła ci ustami, gdyś zwałił się z konia —  
*(Książę zmarszczeniem brwi oddala go)*
- KSIAŻE: *(cicho)* Wito, jak się miewa nasz ukochany?
- WITA: Osądził  
*(Książę wpatruje się i blednie).*
- WITA: Zdaje mi się, że to przełom — te rumieńce gwałtowne...
- KSIAŻE: Spróbuję tych przeklętych Prusaków wygnać z pałacyku, można będzie ułożyć go w zaciszu i wezwać lekarzy. — Hej zuchy, po naszymu — dajcie mi karabin.  
*(zbiera się przy nim kilku żołnierzy, nagle Książę rażony kulą, ślania się)*
- WITOŁD: Ratuj się Książę, — przepłyni rzekę wpław — tylko nie tu, brzeg stromy — —
- KSIAŻE: Mój synu... co to znaczy Wito, puls jego zanika... robmy sztuczne oddychanie — on słabnie.
- WITOŁD: *(głosem przejmującym, dzikim)* Ja będę mocny!
- CHIRURG: *(w gnieniu oka widząc co się dzieje, rzuca się z lancetem do chorego, przecina mu rękę — chwyta żyłę)* Felczer, zastrzyknij wody z solą i kamforą.
- KSIAŻE: *(do siebie)* Już napróżno, już po wszystkim. Tylko dla Wity pozwalam na te straszne eksperymenty naukowe... Boże — wyratujesz go — lub mnie zabij — bo ja będę się mścił: ja nie przebaczę — psiakrew!

Chryste... jako modliłem się do Ciebie niegdyś w kościołach wiejskich i — na stepie, a potem zawsze każdego wieczora zdejmowałem hełm w obozie, gdy modlili się żołnierze — daj mi cud. Uratuj dla Polski tego młodziana — przysięgam, że resztę mych dni poświęcę sprawom duchowym i stanę się Twym apostołem. Wszakże musi być choć jeden Duch w tym Kosmosie?! Bracie czy Boże — pomóż mi. — Twarz martwa, ręka w mej dłoni ścisnęła moją — na wieki. *(choremu buchnęła z ust czarna ropa. Teraz już nawet Wita zrozumiała)*

CHIRURG: *(zrzuca okrwawione rękawiczki, rozwiódł rękoma)* Stało się! Nic poradzić nie można. Z uszczerbkiem innych ratowałem go. Teraz śpieszę do baraku — już obciążę siedmset rąk i nóg — czekają tysiące! *(wybiega)*

WITA: *(głosem nabrzmiałym niesłychaną rozpaczą i zdumieniem)* Dzieciatko moje... nie — to sen straszliwy?...

KSIAŻE: *(duszyc się z wściekłości i żalu)* Wito — i my wszak pomrzemy, gardźmy tym losem nikczemnym. Tyłu zginęło i jeszcze zginie. Koni nam! Wito, siadaj na tego — jest wypoczęty. Przelecimy razem potworny mrok śmierci — skrzydłami mojemi, bądź — wijatykiem! *(mimowoli)* Mam pewność, że z tych wód nie wypłynę — na szczęście! — *(sposztrza się)* Ale będę żył — aby Ciebie ratować.

WITA: *(spokojna)* Wszak przepływałeś Łabę w zbroi i Dniepr?

KSIAŻE: Mam w sobie kule trzy — — Bądź nadewszystko ostrożna, Wito — nie wychylaj się z za tych drzew — zginąć zbyt łatwo, choć żyć bywa tak trudno. Więc na konia — i razem w paru susach — na tamten brzeg.

WITA: *(z bezwzględną wolą)* Jego tu nie opuszczę. A ty mój drogi, najmilszy — musisz jeszcze dla kraju próbować ratunku — Bądź zdrow! *(całuje go).*

KSIAŻE: Utrzymywałaś w nas wszystkich ogień prze tyle lat męki tułaczey, miałażbys teraz ugiąć się? Nasz legł na polu chwały — — —

WITA: Nie uginam się — ja czynię sąd.

KSIAŻE: Wito pomnij, że nam nie wolno wpaść w obłęd — a cóżby powiedziała Polskal



- WITA:** Dlatego, ty śpiesz. Niech każdy czyni swoje do końca... Wodzu.
- KSIĄŻE:** *(patrząc na syna)* Krew mu leje się gardłem, czarna cuchnąca... Przerazenie wsącza się aż do mych kości, że jest tak nikczemną istotą życia. Jam tego widzieć nie chciał. O, przyjdźcie szatany! jakichś potworów monstualnych chciałbym teraz oglądać. Mam ochotę wycić, zarąbać szablą własnego konia — z Prusakami sprzymierzyć się — kasać jak Ugolino czaszkę Najwyższego!... Ha ha ha! Psiakrew! *(zagryza do krwi rękę)* Już jestem spokojny. Tak, Napoleon przegrał tę bitwę — trzeba ratować nasze wojska... Wito, zaklinam cię, ukochana żono moja!... Święta moja!... Duszo moja!... Razem stąd odejdźmy. Witołda wezmę na ręce...
- WITA:** *(surowo)* Nie trać czasu, Mości Książę — To hańba nie móc być Wodzem do końca... Zwątpieniem zabijesz narodowi jego przyszłość...
- KSIĄŻE:** *(chwytając dech)* Na koń, mości panowie. Tak — *(do zgromadzonych licznie wojskowych, którzy chcą uciekać)* Bóg mi powierzył honor Polaków... Jemu go tylko oddam!
- OFICEROWIE:** Ratujmy się, mój Książę. Już poddali się Francuzi — cóż nas tak bardzo wiąże z Napoleonem?
- KSIĄŻE:** *(już na siodle)* Trzeba umrzeć mężnie!
- OFICER:** Rażony czwartą kulą!... Tedy nie zostało nam nic, jak wziąć Księcia na nosze i wywiesić białą chorągiew. Tembardziej, że tu jest nasza Sybilla... Honor ocalimy, choć to przeżytek średniowiecza.
- KSIĄŻE:** A cóż podamy za hasło przyszłości, — rozsądek lisa, przemyślność szczurów? Honor jest dziś zawołaniem polskiego żołnierza.
- WITA:** A za lat sto Wiedza Magiczna wszystkich światów...
- KSIĄŻE:** Trzeba nam wszystkim umrzeć mężnie.
- OFICER:** *(w pasji)* Trudno mówić z wieszczącymi, należy postąpić rozważnie. Książę pływasz świetnie, ale z temi ranami nie przepłyniesz.. Wstyd utonąć w małej bagnistej Plejsie... Cesarz Aleksander uczyni cię wielkorządcą kraju — możemy się z honorem poddać. W tem jest honor: przeżyć dla Kraju.
- KSIĄŻE:** Wy zawsze chcecie szukać furtek do życia. Ja życie kocham, ale nie szukam furtek jego nigdy. Musi być

ktoś, co zaświadczy, że Polska nie jest na kompromi-  
sach oparta: Maciejowice, Legiony — i my, Napoleo-  
nidzi. Trzeba umrzeć mężnie. Wito! najdroższy  
mój śnie — żegnaj. Tam, w namiocie, są prochy i lont.  
Tu będę, aż hýjeny pruskie otoczą mnie. Bądź mi  
pożegnany! Ujrzym się kiedyś na strasznych pusty-  
niach Lucyfera za lat tysiące — lub tylko na oka  
mgnienie.

WITA:

Żegnam cię, eucharystjo mego życia. Wybacz, zem  
cię nieraz tak ranił... Nigdy więc już tu na ziemi?  
Tak — już nigdy. Nie daj się wziąć żywcem. — Pa-  
nowie: wcvall!

*(strzały, krzyk — widać Ciebie Księcia, rzucającego się  
konno do rzeki)*

*(Na górnej kondygnacji rozjaśnia się modre niebo — wcho-  
dzi Chór — wojskowi z pod Moskwy w kłapach kościelnych,  
bez nóg, z odmrożonemi twarzami. Rozlegają się posępne  
dzwony zlatuje stado kruków. Jednocześnie na kondygnacji  
II-iej chirurg operuje rannych, a Kapelan ich spowiada. Ukazu-  
ją się Kryształowe Wagi oraz Brama: fantastyczne przetwo-  
rzenie Grimmaiscestor na wejście do Inferna)*

CHÓR:

Trzymajmy teraz mocno wagi kryształowe. Co rozsą-  
dzimy na nich? Wyzwolenie dusz idących do Boga —  
czy rozkład ciała na jego wapno, gazy i fosfor i żad-  
nego Boga, ani nawet duchów... Jeśli nie wydobędziem  
teraz mocy na stulecia, rzućmy przekleństwo życiu!

LEKARZ:

Przekleństwo jest równie bezsilne, jak błogosławienie.  
Trzeba znaleźć poprostu drogę dla swego najwyższe-  
go prawa: do mocy.

Obywatelko Wito, wykryształowałaś umysł na wyżynach  
światel Europy.

WITA:

I nie wiem już teraz nic!

LEKARZ:

A ja wiem i wiedziałem zawsze: że się naradza to,  
co umrzeć musi — ale w tym przelocie jest wielka  
miara słonecznej wibracji. I tego musi wam starczyć!  
Zrywam z tobą. Mów ty, Wiaro — po raz ostatni.

WITA:

Milczeniem będę się modlił aż do ekstazy! *(Wita za-  
łamuje ręce)* Pani Wito, przez życie byłaś płonącym  
świecznikiem w ręku Aniołów. Jakże to, chcesz teraz  
wiarę i kościół opuścić?

KAPELAN:



- WITA: Tak, chcę wiarę i kościół i wszelką nadzieję opuścić
- KAPELAN: Chrystusa — tego co na Taborze...
- WITA: *(głucho)* Chrystus miał czas tu przyjść i okazać się czemś więcej, niż umęczonym marzycielem. Jeśli teraz przyjdzie nawet z Chórami Aniołów — powiedz, że Wity, która wznosiła imię Jego na ziemi — już niema.
- (pod olbrzymią stertą odciętych rąk, nóg, jelit — uginają się Wagi. Pojawia się Tytan Ciemny. Ma w sobie coś z Napoleona — jego trójkątną piramidę i profil. Tylko oczy straszne, magnetyczne, jak fosforyzujące Morza. Młotem uderza w wagi i rozbija. Lekarz i kapelan cofają się przerażeni)*
- TYTAN CIEMNY: Bez miary — bez wagi chcę życia w Kosmosie. Zakończmy z temi nadziejami na ryngrafach.
- Nowy Bóg Ziemi — wiecie kto? Ateizm w otchłaniach. Cziczcie go — aż do czasu nowego.
- WITA: Luciferze! Płomieniu gorejący, który bezlitośnie spalasz wszelką Marnotę męki naszej, powiedz — czy ty przynajmniej wiesz cośkolwiek o Nieśmiertelnym Życiu?
- TYTAN CIEMNY: Tam Cię wyczekiwać będą!
- CHÓR: Tam będziemy drogi za Tobą prostować.
- (znikają)*
- KAPELAN: Jestem zmiażdżony. Nie mogę iść do umierających. Bo w imię czyje miałbym kazać wyczekiwać cudu?
- LEKARZ: A ja przeciwnie — mam wiosnę w mej duszy, Tam, z gór Prometeizmu, idzie postać straszliwa, rzec muszę w tym języku — boski Archanioł człowieczeństwa,
- KAPELAN: *(w krzyku radosnym)* To Mistrz z Nazaretu!
- LEKARZ: Nie — to Wiedządszych niż ziemia — Horyzontów. Ale zemną już koniec — zdaje się, że i z Tobą, przyjacielu. Kule tu lecą jak grad. I obydwaj jesteście jak sito — dla promieni. *(umiera)*
- GŁOS: Jam z wami — po wszystkie wędrówki. Z iskry nieśmiertelnej utworzyłem tęsknotę za wyżynami. Naradzam się w każdym sercu, świadomem męczarni i szczęścia. Odkryłem wam niezmierzone horyzonty wojny i miłości, gwiazd i praw Natury. Jam z Wami Jam — Wami! Jam — Polską za lat tysiąc... In te-nebris... luceo!

*(rozlega się muzyka — chóry pieśni dalekich...  
Namiot Wity otaczają nagle pruscy tyraljerzy)*

**GENERAL PRUSKI:** Strzelajcie do krakusów i ułanów, co już próbują wypłynąć na tamten stromy brzeg..

*(rzegot karabinów)*

Kto jest ów z burką czarną i złotem słońcem na czapie?

**ŻOŁNIERZ PRUSKI:** Excellenz — jestem strzelec z Kaszubów.

**GENERAL:** Pytam — kto jest ów marszałek Francji, którego koń już zarwał kopytami na tamten brzeg?

**ŻOŁNIERZ PRUSKI:** To Brinc von Baniadoffsky.

**GENERAL:** Celuj uważnie. Nie wypuść żywym. Cała ta Polakerei podtrzymuje korsykańskiego rozbójnika. On chciał wydrzeć nasz łup... Wielkopolskę, Kaszuby, Warmię, Śląsk... Więc tępić — tępić bez litości. Wszystkich na tej wyspie wymordować. *(zagląda do namiotu Wity)* Skąd się wzięłaś tu? Nie wyglądasz na markietankę! *(ze złością)* Odpowiadaj, kiedy pytam.

**WITA:** Znasz imię Lucifera?

**GENERAL:** Znam tylko Lucypera — to Napoleon.

**WITA:** Nie jest to samo... Lucifer prowadzi nas w misterja podziemne i nadziemne. Ale wasz koniec jest taki, jak zwierząt najniższych: przemiana w ropę ziemną. Żegnajcie się — bo dla was niema Zmartwychwstania.

**GENERAL:** To śmierć — Herr Jemine!

**WITA** *(rzuca lont na beczkę prochu)* Widmo Wandy Królowny i Chrzanowskiej idą tu — Luciferze!

*(Wybuch. Dym zapęlnia kondygnację. Z błysku i strzałów widać — że toczy się dalej śmiertelny bój. Lwi poryk dział, jęk umierających, rzenie obłąkane koni. Mrok.)*

F. 5577



5577